



Pociąg wiozący nas w stronę Waranasi wtoczył się na stację o zaplanowanej godzinie, ewakuacja z bagażami na peron przebiegła sprawnie. Kumar od razu zaczął załatwiać riksze, które miały nas zawieźć do celu tego etapu wyprawy, więc ruszyliśmy w stronę wyjścia z dworca. Jakoś nadzwyczaj dobrze mi się szło z dużym plecakiem i torbą trekkingową. Lekko jakoś tak, nic nie zawadzało... I nagle olśnienie! Jezus Maria, mój plecak został w pociągu. Nic w nim szczególnie wartościowego nie było, ale samego plecaka szkoda. Że zaczęłam gnać to za dużo powiedziane, ale zaczęłam biec do naszego wagonu (a jakie długie są indyjskie pociągi, to wie ten, kto zobaczył), wpadłam pomiędzy tłoczących się w nim Indusów, którzy podali mi zgubę. W ostatniej chwili wyskoczyłam z betami... „fajnie się zaczyna” pomyślałam.

Riksami dojechaliśmy do Waranasi. Upalnego Waranasi, to mało powiedziane. Czekając na człowieka z hotelu, który miał nam pokazać drogę do miejsca kwaterunku na dwie noce, schowaliśmy się do cienia, żeby nie oszaleć i nie skończyć z udarem. Droga krętymi uliczkami stareńkiego miasta, wiodąca do hotelu, była długa i wykończyła nas ostatecznie. Te uliczki są tak wąskie, że przejdzie krowa, przejdzie człowiek na motorze lub przejdzie para chudzielców. Z dużymi plecakami musieliśmy zatem iść gęsiego. Odczuwalna temperatura przekraczała 40 stopni, wilgotność ponad 90%, a my z bagażami...ale dotarliśmy do hotelu i już po obejrzeniu pierwszych pokoi, w których mieliśmy się zakwaterować, wpadliśmy w zachwyt. Pokoje były duże, z klimą, telewizorami, wypasionymi łazienkami, gabinecikami ze szezlongami, gdyby przyszło nam do głowy wypić w gronie przyjaciół popołudniową herbatkę... Po prysznicu, szybkim praniu brudów i późnym lunchu, ruszyliśmy w miasto z przewodnikiem, a jednocześnie naszym przyjacielem od lat, niegdysiejszym menadżerem kultowego hotelu Puja (teraz na stałe zamkniętego) Kumarem zwanym Shiwą. Shiva pokazał nam jak zmieniło się Waranasi. I trochę to, co zobaczyliśmy było takie słodko-gorzkie. Okolice Puji i świątyni nepalskiej przebudowano, unowocześniono, ale kosztem starego miasta, które było tak klimatyczne i za to je podziwialiśmy. Wieczorem wyszliśmy na Ganga Aarti Ceremony, a po mistycznej ceremonii nadeszła pora na kolację. Po drodze zrobiliśmy też chyba pierwsze większe zakupy w sklepie z jedwabiami. Któraś dziewczyna kupiła sari, ktoś inny torbę, jeszcze ktoś szale dla dziewczyny i mamy... Następnego dnia Kumar zarządził zbiórkę o 5.15, bo zaplanował rejs łodzią po Gangesie, aby było nam dane z tej perspektywy zobaczyć wschód słońca i budzące się do życia ghaty, na których jedni się modlą, drudzy myją, jeszcze inni piorą... po rejsie zjedliśmy śniadanie (tym razem onion paratha dla każdego, bo nie kupiliśmy chleba) i pojechaliśmy riksami, by zwiedzić kilka miejscowych świątyń, w tym Matki Indii, bogini Durgi, New Visvanath... A po południu zrobiliśmy sobie „dzień dziecka”, czyli odpoczywaliśmy, szwendaliśmy się po okolicy, jedliśmy zamówione pyszności w hotelu. A kolejnego dnia pojechaliśmy do Sarnath. Upał był chyba jeszcze większy niż poprzedniego dnia. Sprawdzałam temperaturę odczuwalną i Internet pokazał mi 46 stopni. W Sarnath zwiedziliśmy świątynie buddyjskie, muzeum archeologiczne i teren wykopalisk osłaniających resztki konstrukcji z ostatnich wieków przed naszą erą, czyli z czasów Aśoki i obfotografowaliśmy się pod stupą Dhamekh, w miejscu której Budda miał wygłosić swoje pierwsze kazanie pięciu ascetom. A o wszystkim, co widzieliśmy opowiadała nam zajmująca Ola Głogowska. Po strawie dla ducha było coś dla ciała, czyli lunch w restauracji LAZANIYA. My - kadra zamówiliśmy oczywiście indyjskie dania z karty (thali i aloo ghobi), ale niestety większość młodych MAKARON a la „prawie włoski”. I nie dość, że te pasty nie były



najlepsze, to jeszcze czekaliśmy na realizację zamówienia wyprawowiczów prawie dwie godziny. Rikszarzy, czekających na nas w pełnym słońcu, pewnie szlag trafiał, ale cóż... po powrocie do hotelu mieliśmy czas na szybki prysznic i przepakowanie się na drogę do Amritsar. Tymczasem w jednym z dwóch pokoi chłopców podniósł się krzyk. Okazało się, że panowie, pomimo ostrzeżeń kadry, w małym kamerliku przy ich sypialni, który zaadaptowali jako suszarnię, otworzyli okno (na szczęście nie kraty w nich), no i złośliwe mały skorzystały z okazji i obrzuciły własnymi odchodami upraną bieliznę i koszulki... A takie są ładne i wydają się zabawne (mały, a nie koszulki chłopaków).

Zostało też trochę czasu na ostatnie spacerowanie ghatami nad Gangesem. A propos Gangesu, nasi chłopcy drugiego dnia pobytu w Waranasi postanowili jeszcze przed śniadaniem wykąpać się w tej rzece i zmyć z siebie grzechy przeszłe, teraźniejsze i nawet przyszłe. Oczyszczeni, wydawali się szczęśliwi i deklarowali powtórkę z rozrywki, ale następnego dnia wybrali dłuższy sen. W każdym razie, do domów wrócą mentalnie odmienieni i emanujący nieziemską poświatą... (niektóre spostrzeżenia piszącej mogą być efektem nadmiaru słońca).

A wracając do ostatniego dnia w świętym mieście... wyszłam na samotny spacer na ghaty i okazało się, że na podobny pomysł wpadli młodzi, z którymi polazłam do małej czerwonej świątyni zamieszkaanej przez dwudziestokilkuletniego Amerykanina. Chłopak wychował się w Kalifornii i w poszukiwaniu sensu życia ruszył w świat. I tak idea mogłaby się nawet wydać piękna, gdyby nie jego opowieści o tym, że ma widzenia i fakt, że w swoim lokum przechowywał czaszki. Czy ludzkie? Tego nie sprawdziliśmy. Pożegnaliśmy typa i poszliśmy robić zdjęcia rzece. Ja spotkałam Grace i obie wolnym krokiem ruszyłyśmy eksplorować tę część ghatów, w którą, mieszkając zwykle w hotelu Puja, nie zapuszczaliśmy się, bo zwykle łączyłyśmy w stronę Manikarnika. Wróciliśmy do hotelu po zachodzie słońca, a o 20tej pożegnaliśmy Waranasi i wyruszyliśmy rikszami na dworzec. Nastroje były wyśmienite. Kumar i nasz kierowca zaśpiewali nawet po drodze na dwa głosy hymn Indii. I jak to mówią - choć tak dobrze żarło, to zdechło. Główna hala dworca była zapchana granic możliwości. Poszliśmy więc na peron piąty, z którego mieliśmy o 22.15 wyjechać do Amritsar. Tymczasem na wyświetlaczach nie było tego pociągu, aplikacje kolejowe pokazywały, że maszyna gdzieś utknęła i przyjedzie z opóźnieniem. Jak dużym? Nie wiadomo. Więc czekaliśmy. Nie można się było ruszyć do toalety, bo pociąg mógł w każdej chwili przyjechać, a jedyna toaleta była we wspomnianej hali głównej. Młodzi chodzili zatem „za potrzebą” za blachę falistą ustawioną w części peronu, wykazując się odwagą, bo było to szczerze osiedle. Mijały kolejne godziny a my trwaliśmy na posterunku. Gorszy wieczór zaliczył Fifi Hornik, który miał lekką gorączkę i głębokie przeświadczenie, że skona w Waranasi. Ale lek przeciwgorączkowy i odśpiewany przez grupę kolegów i koleżanek „Testament mój” postawiły go na nogi. W pewnym momencie, rozłożeni na plecach młodzi słodko spali, a my - opieka siedzieliśmy na wózku dostawczym i nasłuchiwałam komunikatów. Tuż przed trzecią wsiedliśmy do pociągu, powalczyliśmy o zarezerwowane w sleeperze miejsca z rozłożonymi na nich tubylcami i po zwycięskiej batalii mogliśmy wreszcie spokojnie zasnąć. Teraz, kiedy piszę, ciągle jesteśmy w pociągu. Do Amritsar przyjedziemy z sześciogodzinnym opóźnieniem. Ot, uroki podróży.